

MARIA CZYŻOWA

Andrzej Michał Kobos [AMK] – *Pani Mario, czy działała Pani w pierwszej „Solidarności”?*

Maria Czyżowa [MC] – Byłam członkiem „Solidarności”, ale nie działałam w niej przed stanem wojennym.

AMK – *Rozumiem, że po wprowadzeniu stanu wojennego działała Pani w Arcybiskupim Komitecie Pomocy Więzionym i Internowanym, wyłącznie charytatywnie.*

MC – Tak, tak właśnie było. Po wprowadzeniu stanu wojennego, w kilka dni później byłam już w samorzutnie zawiązanym Komitecie Pomocy. W tym Komitecie były już wtedy Ewa Miodońska-Brookes i Anka Krzysztofowicz, jak również Tomek Dobrowolski. Ja do nich dołączyłam. O Komitecie należy powiedzieć, że był zdecydowanie „kościelny”, funkcjonował bowiem najpierw przy kościele św. Anny, a nieco później Mariackim, nie od razu przy Kurii Arcybiskupiej. Jeżeli dobrze pamiętam, to już 20 grudnia ks. kardynał Macharski powołał nas do działania dekretem kurialnym metropolity krakowskiego. Ks. Stanisław Małysiak został szefem Komitetu z ramienia Kurii. W sumie było nas około ośmiu osób, chyba wszyscy z wyższych krakowskich uczelni. Byłam wtedy pracownikiem Uniwersytetu Jagiellońskiego (w redakcji „Acta Physica Polonica” w Instytucie Fizyki UJ przy ul. Reymonta 4), ale nie działałam w podziemnej „Solidarności” na Uniwersytecie.

AMK – *Czy pamięta Pani więcej szczegółów z początkowego okresu działania Komitetu Pomocy?*

MC – To było w kościele św. Anny. Do Komitetu, zorganizowanego przez Ewę Miodońską i Ankę Krzysztofowicz, ściągnął mnie około 20 grudnia Paweł Studnicki, który przyszedł do mnie z pytaniem, czy włączyłabym się do takiej działalności. Dał mi namiar i następnego dnia poszłam na spotkanie o godzinie dziewiątej rano w pokoju „na górce”, od podwórza, nad zakrystią u św. Anny. Potem ktoś załatwił dla nas trochę większe po-

mieszkanie przy zakrystii w kościele Panny Marii, z dogodnym wejściem z ulicy. Proboszczem był tam wtedy ks. Kościółek. Najczęściej tam właśnie siedziałam i wkrótce ściągnęłam moją koleżankę z Państwowego Wydawnictwa Naukowego, Wandę Lohmanową. Tam też gromadziliśmy produkty żywnościowe, przynieszone przez mieszkańców Krakowa. Były to głównie domowe ciasta, ale też i konserwy oraz datki pieniężne. Przy tworzeniu list internowanych i uwięzionych ogromnie pomocni byli studenci Ewy Miodońskiej i Anki Krzysztofowicz. Przy ich pomocy gromadziliśmy również dane o rodzinach poszkodowanych. Prawie równocześnie zaczęli działać studenci z „Beczki” u oo. dominikanów; oni także zbierali dane, które porównywaliśmy. Na początku wszystko było dość chaotyczne. W styczniu 1982 do Komitetu dołączyło kilka następnych osób, a mianowicie: Krystyna Gąsowska, Irena Łazarska, Wiesław Zabłocki, Tomasz Gizbert-Studnicki, Bogumiła Jaworska. W tym składzie Komitet przetrwał do jesieni 1989.

Nasze pierwsze dni działania przypadły na okres tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1981. Początkowo byliśmy głównie nastawieni na organizowanie pomocy dla uwięzionych w obozach internowania i regularnych więzieniach. Powiedziano nam, że ks. kardynał Franciszek Macharski w pierwszy dzień świąt pojedzie do Wiśnicza, gdzie w więzieniu internowana była liczna grupa krakowskich i małopolskich działaczy „Solidarności”. Miał tam odprawić mszę świętą, ale chodziło też o to, aby nie pojechał z pustymi rękami. Nadal gromadziliśmy jedzenie przynieszone przez nieznanym nam ludzi, na ogół starsze panie. Piekły i przynosiły domowe placki świąteczne, całe sterty. To było wzruszające. Nasza obecność w Kurii była oczywiście wielkim obciążeniem dla normalnej pracy Wydziału Duszpasterstwa, którego szefem był ks. Stanisław Małysiak. Wydział mieścił się w dwóch pokojach; w jednym pracował ks. Małysiak i siostra Hieronima (nasz dobry duch), a w drugim ks. Stanisław Dadak. W tych pokojach był nieustanny ruch, jak na dworcu kolejowym. Przychodzili interesanci do Wydziału i tabuny ludzi do nas z pytaniami, informacjami, no i z paczkami. Były to dla wszystkich dość niezwykle doświadczenia. Nieco później przydzielono nam pokoik na piętrze oraz kawałek dużego magazynu Wydziału Charytatywnego Kurii.

Jako Komitet współpracowaliśmy bardzo ściśle z punktem pomocy medycznej zorganizowanym niemal natychmiast po wprowadzeniu stanu wojennego przez panią Teresę Regułę z Akademii Medycznej. Punkt mieścił się przy kościele św. Anny. Lekarze, pielęgniarki, farmaceuci byli niezwykle ofiarni przy udzielaniu wszelkiej pomocy ludziom potrzebującym, np. zwalnianym z ośrodków odosobnienia i ukrywającym się.

AMK – *Czy dary, artykuły żywnościowe, pochodziły głównie od osób z Krakowa?*

MC – W tym pierwszym okresie tak, ale niedługo potem zaczęły przychodzić transporty z żywnością z zagranicy. Magazyn na dary nie był jeszcze przygotowany. Pamiętam bodaj pierwszy, nieduży transport z pomocą, który przyjechał późnym wieczorem – jakieś krakersy, czekolady i mydło. Nie wiedzieliśmy, co z tym zrobić. Powiedziałam, że trzeba to zawieźć do naszego mieszkania, gdzie zrobiliśmy paczki. Sporo różnych drobiazgów pojechało wtedy do Wiśnicza. Później transporty były już znacznie większych rozmiarów, było więc z czego robić paczki.

AMK – *Kto jeździł z pomocą do obozów internowania?*

MC – W styczniu 1982 zaczęliśmy jeździć sami, zwykle dwie osoby plus kierowca. Czasem jeździł z nami któryś z księży, często lekarz, niekiedy zabierała się z nami jakaś rodzina, która akurat miała widzenie. Wiesiek Zabłocki jeździł najczęściej do obozów internowania i więzień. Początkowo jeździł swoją ładą; z ks. Józefem Tischnerem objechali prawie całą Polskę. Byli nawet w Gołdapi, przy północnej granicy ze Związkiem Sowieckim. Choć może bardziej interesowała go działalność polityczna niż charytatywna, robił jednakże wszystko, co było w gestii Komitetu. Później jeździliśmy bardzo porządnym vanem z Kurii, tzw. suką kurialną. Kuria miała dwa takie vany. Sporo do nich wchodziło. Było dwóch kierowców, raz jeden, raz drugi z nami jeździł. Świetni ludzie.

Jeździliśmy do obozów w południowej Polsce, a także do więzień, ponieważ część działaczy „Solidarności” siedziała w więzieniach. Głównym celem naszych wyjazdów do obozów czy więzień było przekazanie więźniom stanu wojennego darów z żywnością i odzieżą – zawiezenie im trochę lepszego jedzenia. Był to nasz znak pamięci o nich, mieliśmy nadzieję, że sprawimy im chociaż trochę przyjemności.

AMK – *Czy można było łatwo wejść do obozów internowania?*

MC – Gdy przyjeżdżaliśmy do danego obozu internowania, straż obozowa wyznaczała delegację internowanych do spotkania się z nami i odbioru paczek. W trakcie tych spotkań internowani nie byli jakoś szczególnie pilnowani. W Załężu czy Łupkowie Nowym – kiedy tam byłam – wszystko odbywało się dosyć swobodnie. Zawsze znalazł się taki moment, że ktoś serdecznie mnie obejmując, włożył mi coś do kieszeni płaszcza albo przykleił na plecach. Tadzio Piekarczyk był specjalistą od takich działań.

Wyjazdy do więzień były znacznie trudniejsze. Jeździł z nami wtedy zawsze ksiądz, a czasem nawet biskup, m.in. ks. bp Albin Małysiak. Ja, na przykład, raz byłam w więzieniu w Kielcach. Do więzień nie wolno było

zawozić leków ani witamin. Pamiętam, jak przyszedł transport z multiwitaminą. Do późna w nocy w pokoiku w Kurii rozwijaliśmy cukierki z papierków i zawijaliśmy w te papierki multiwitaminę.

AMK – *Czy wyjeżdżając z pomocą, mieliście z sobą jakieś dokumenty?*

MC – Tak, pismo podpisane przez kogoś z Kurii. Każdy z nas miał też przy sobie „glejt”, podpisany przez ks. kardynała Macharskiego, zawierający informację, że jesteście członkami Arcybiskupiego Komitetu Pomocy Więzionym i Internowanym.

Pamiętam zdarzenie w 1983, gdy Jan Paweł II kończył drugą wizytę w Polsce. Kanclerz Kurii ks. Bronisław Fidelus załatwił nam karty wstępu na płytę lotniska w Balicach na uroczyste pożegnanie Papieża. Mieliśmy przypięte plastikowe plakietki z napisem „Arcybiskupi Komitet Pomocy Więzionym i Internowanym”. Przy wchodzeniu na płytę lotniska funkcjonariusze BOR-u odebrali nam te plakietki. Ktoś z nas to przewidział i po przejściu ostatniej kontroli wyjął z kieszeni garść takich plakietek i znów byliśmy „oznakowani”. Papież zatrzymał się przy nas przez chwilę i powiedział: „Niech Bóg błogosławi to, co robicie”.

AMK – *Rozumiem, że osoby z Komitetu Pomocy starały się pomagać rodzinom internowanych i więzionych.*

MC – W samym Krakowie staraliśmy się mieć bezpośredni kontakt z takimi rodzinami. Niektóre rodziny przychodziły do nas, ale były i takie, do których jeździło się do domu, dowiedzieć się, jaka pomoc jest im potrzebna. Wiele z tych rodzin mieszkało w Nowej Hucie. Sama wielokrotnie jeździłam do Nowej Huty, aby ustalić, jaka pomoc jest potrzebna ludziom, którzy nie zgłaszali się do nas, a wiedzieliśmy, że ktoś z ich bliskich jest w obozie czy więzieniu. Mieliśmy też mnóstwo zgłoszeń o represjach z mniejszych miejscowości, nieraz dość odległych, np. z Rzeszowszczyzny. Wtedy zwykle staraliśmy się ustalić okoliczności poprzez lokalny kościół, najczęściej poprzez proboszcza.

Tym, którzy siedzieli, wiele pomóc nie mogliśmy, najwyżej zawieźć im trochę lepszego jedzenia na dwa z górą wieczory. Bardziej przydatni byliśmy dla rodzin uwięzionych, rodziny te bowiem zostawały często kompletnie bez środków do życia. Pomagaliśmy im najlepiej, jak mogliśmy. Pamiętam konkretny przypadek. W więzieniu siedział pan Witold Toś z krakowskiej zajezdni tramwajowej, spacyfikowanej po strajku. Jego żona była wtedy w bardzo zaawansowanej ciąży, a on rozpaczał w więzieniu, co z nią będzie. Znalazła się pod naszą opieką i załatwiliśmy jej lekarza w szpitalu Narutowicza. Tym lekarzem była Grażyna Markiewicz.

AMK – *Czy ci ludzie potem dziękowali Państwu w jakiś szczególny sposób?*

MC – Tak, tak. Było mnóstwo wyrazów wdzięczności od osób, którym pomagaliśmy. Ludzie zwolnieni z obozów internowania i więzień przychodzili do nas, wzruszeni pomocą dla ich rodzin w czasie, gdy oni siedzieli.

Miałam wiele bardzo sympatycznych pamiątek, ale wszystkie oddałam do Biblioteki Jagiellońskiej, m.in. „medal”, który internowani zrobili mi w obozie w Załężu z rozklepanego kapsla od butelki.

AMK – *Arcybiskupi Komitet Pomocy Więzionym i Internowanym działał zupełnie otwarcie...*

MC – Absolutnie otwarcie. Działał pod parasolem Kurii, w sposób całkowicie oficjalny. W żaden sposób nie kryliśmy się z pomocą – udzielaliśmy jej ludziom potrzebującym.

Ale były różne rzeczy, z którymi kryliśmy się – nie dało się tego rozdzielić. Wielu ludzi uważało, że naszej działalności charytatywnej nie można mieszać z działaniami politycznymi. Nie było jednak konfliktów, choć były pewne różnice zdań. Nie było natomiast formalnego kierownictwa, procedur, głosowań. Panowała ogromna kultura współpracy.

Nierzadko zdarzało się, że w transportach charytatywnych, razem z mąką, ryżem, czekoladkami itd. przychodziły materiały poligraficzne. Kiedyś przysła kompletna maszyna drukarska w sporej skrzyni, bodaj z Francji. Już w bramie magazynu przy ul. Wiślniej, w ostatniej chwili udało się ks. Stanisławowi Małysiakowi i ks. Janowi Walowi zaprosić na kawę celników kontrolujących ten transport, a w tym czasie klerycy wyładowali skrzynię. Później na tej maszynie sami drukowaliśmy książki (po jakimś czasie w domku pewnej starszej pani w Bieżanowie); dotąd mam egzemplarz wydania *Kuriera z Warszawy* w małym formacie, który wydrukowaliśmy z Wieśkiem Zabłockim i Józkiem Mroczkim (ukrywającym się pracownikiem Kopalni Soli w Bochni). Kiedyś, po latach, Jan Nowak-Jeziorański powiedział mi, że tego wydania nie ma, ale niestety nie zdążyłam już mu tej książeczki dać, za to na moim egzemplarzu otrzymałam od niego dedykację i autograf.

AMK – *W Komitecie Pomocy spisywano „na świeżo” relacje ludzi zwolnionych z internowania i więzień...*

MC – Prawie wszyscy ci, których wypuszczano z internowania i więzień, przychodzili do Komitetu. Spisywaliśmy te relacje w zeszytach, których pod koniec działalności Komitetu zgromadziło się kilkanaście. W tych zeszytach zapisywało się zresztą wszystko, z czym ludzie do nas przychodzili. Prowadziliśmy też kartoteki podopiecznych, do których wpisywaliśmy, jaka pomoc została im udzielona (pieniądze, żywność, odzież). Na początku siedzieliśmy w Kurii wszyscy, potem mieliśmy dyżury, po jakimś czasie, kiedy wróciliśmy już do pracy, tylko w godzinach popołudniowych. Ja wtedy też

wróciłam do swojej pracy – można już było drukować „Acta Physica Polonica”.

Do samego końca codzienne dwugodzinne dyżury pełnili adwokaci, specjalizujący się w prawie pracy, którzy udzielali porad, pisali wnioski, odwołania. Pomoc prawna była niesłychanie istotna. Pamiętam mecenas Zofię Wyrobkową, mecenasów Wiktora Szczypińskiego i Stanisława Rzepkę. Dyżurowali również ludzie pomagający znaleźć pracę osobom wychodzącym z obozów, których zwolniono z pracy. Wielką pomocą służyła tu grupa trzech–czterech osób związanych z Akademią Sztuk Pięknych.

AMK – *Czy były próby inwigilacji Komitetu przez Służbę Bezpieczeństwa?*

MC – Nie odczuwaliśmy tego. W zasadzie mury kościelne, a w naszym wypadku mury Kurii, dawały nam duże poczucie bezpieczeństwa. Często czuło się to fizycznie po przejściu bramy do budynku przy Franciszkańskiej 3, gdzie był spokój i czuliśmy się bezpiecznie.

Natomiast trzeba było uważać podczas rozpraw przed kolegami orzekającymi osób aresztowanych na demonstracjach. Chodziliśmy tam, aby wykupywać skazanych. Nie pamiętam już, skąd dostawaliśmy informację, gdzie te kolegia będą się odbywać – czy w Śródmieściu, czy w Nowej Hucie. Jeździliśmy w kilka osób z pieniędzmi, aby zaraz zapłacić grzywny. Kiedyś zwinęli naszą grupę, ale po interwencji ks. Małysiaka wypuścili po kilku godzinach bez specjalnych problemów.

AMK – *Zanosila Pani do Komitetu w Kurii pieniądze zebrane np. w Instytucie Fizyki UJ...*

MC – Niezbyt dokładnie to pamiętam, ale zapewne tak musiało być, ponieważ robiono tam zbiórki, a ja byłam naturalnym „gońcem”. W pierwszym okresie, kiedy pomoc internowanym i uwięzionym była tak bardzo potrzebna, rzadko przychodziłam do Instytutu Fizyki. Od rana do nocy siedziałam w Komitecie, początkowo w kościele Mariackim, a potem w Kurii.

AMK – *W sumie musiały to być znaczące kwoty, jeżeli można było wykupywać demonstrantów skazanych na wysokie jednak grzywny.*

MC – Tak, były to znaczne kwoty. Pochodziły od ludzi z zewnątrz, przychodzących do Kurii i anonimowo wrzucających pieniądze do obklejonego pudełka po butach z podłużnym otworem, które stało w naszym pokoju. Mnóstwo ludzi wrzucało do tej skarbonki pieniądze, często byli to ludzie starsi, zapewne emeryci. W niektórych przypadkach wiedziałam, od kogo były to pieniądze, bo mówił o tym ks. Małysiak. Na przykład: w maju 1982 pan Koprowski, właściciel dwóch–trzech krakowskich sklepów z artykułami żelaznymi, śrubami, zamkami itd., przyszedł i po prostu wrzucił grubą kopertę z ogromną kwotą; przeliczyliśmy ją – pół miliona złotych, co chy-

ba równało się dwudziestu pięciu średnim grzywnom. Każdego wieczoru, po zakończonym dyżurze, pudełko było otwierane, liczone pieniądze, wkładano je do metalowej kasetki, którą chowano. Sumę „utargu” wpisywano do specjalnej książki „przychody–rozchody”.

Nikomu z nas do głowy nie wpadło, że to pudełko ktoś może ukraść. A jednak tak się w końcu stało. Ile w tym dniu było tam pieniędzy, wie tylko złodziej. Po tym smutnym doświadczeniu stolarz zrobił specjalną skrzynkę zamykaną na klucz i łańcuchem przymocowaną do mebla.

Należy podkreślić, że właściwie wszędzie zbierano pieniądze. Ludzie przychodzili z miasta i przynosili datki, a nadto mnóstwo ludzi i organizacji z zagranicy przysyłało pieniądze, docierały też w transportach z pomocą.

AMK – *Czy Arcybiskupi Komitet Pomocy współpracował z innymi komitetami pomocy?*

MC – Takich komitetów pomocy w Krakowie było kilka, zwłaszcza w Nowej Hucie. W kościele Arka Pana działał komitet pomocy hutnikom, zorganizowany przez ks. Władysława Palmowskiego. Nieco później przy kościele św. Maksymiliana Kolbego w Mistrzejowicach powstał komitet ks. Kazimierza Jancarza, prowadzący bardzo szeroką akcję pomocy. Znacznie później (po drugim strajku w Hucie) powstał komitet pomocy na osiedlu Szklane Domy w Nowej Hucie – prowadzili go cystersi z Mogiły, znakomity o. Niward Karsznia. Świetnie się z nim współpracowało. Uznawał, że my mamy doświadczenie, listy internowanych i uwięzionych; on z kolei udostępniał nam wszystko, co mógł. Kiedy już powstały ośrodki pomocy w Nowej Hucie, należało ustalić, kto komu pomaga, tak by nikogo nie pominać i pomocy nie dublować.

Bardzo sprawnie działał też ośrodek pomocowy w „Beczce” prowadzony przez studentów z duszpasterstwa akademickiego u oo. dominikanów.

AMK – *Jaka była w tych wszystkich działaniach rola ks. kardynała Macharskiego?*

MC – Zgłaszaliśmy ks. kardynałowi Macharskiemu, że ktoś siedzi w więzieniu, że coś niedobrego się dzieje. Zawsze wysłuchiwał, dziękował i kończył rozmowę. Szalenie trudno było ocenić, co o danej sprawie myśli. Nie było tak, że powiedział: to ja pójde, wypytam, załatwię. Nie bardzo było od razu wiadomo, czy podejmował jakieś działania. Poznawało się to dopiero po efektach. Przypuszczalnie swoimi kanałami sprawdzał i interweniował. Zdarzyło się, że interweniowałam u ks. Kardynała w sprawie pewnego uwięzionego, którego sprawę, jak się później okazało, przedstawiono mi nieprawdziwie. Było mi bardzo nieprzyjemnie, gdy zdałam sobie sprawę, że naraziłam ks. Kardynała na rozmowę z jakimś superubekiem. Gdy wspominał te czasy, to z wdzięcznością myślę o ks. kardynale Macharskim, któ-

rego ogromny parasol rozpięty nad naszymi działaniami chronił nas skutecznie przed ubeckimi zagrożeniami.

AMK – *Jak długo działała Pani w Komitecie Pomocy?*

MC – Nasz komitet działał do 1989. Byłam w nim cały czas. W późniejszym okresie mieliśmy już mniejszą liczbę podopiecznych, zdecydowanie mniej jeździliśmy do więzień. Pomoc właściwie ograniczała się do leków i odzieży. Ciągłe przychodziły transporty z lekami i z używaną odzieżą. Po zamknięciu naszej działalności leki zostały przekazane do jednej z wielu powstających wówczas aptek darów, a odzież do Wydziału Charytatywnego Kurii. Nasze archiwum zostało przekazane do archiwum Kurii. Wiem, że Biblioteka Jagiellońska chciała przejąć to archiwum, ale niestety nie doszło do tego.

AMK – *Czy miała Pani jakieś kontakty z Tajną Komisją Zakładową „Solidarności” Uniwersytetu Jagiellońskiego?*

MC – Nie miałam z nią żadnego kontaktu. W ogóle nic o niej nie wiedziałam. Potem dopiero dowiedziałam się, że Ewa Miodońska i Anka Krzysztofowicz działały w niej.

AMK – *Czy później, przed wyborami 1989, działała Pani jeszcze?*

MC – Z wiosną 1989 przez miesiąc byliśmy z mężem w Stanach Zjednoczonych, w Urbana, Illinois. Wróciliśmy pod sam koniec maja. Jeszcze zdążyłam się zarejestrować jako obserwator wyborów z ramienia „Solidarności”.

AMK – *Coś w człowieku zostaje. Jak z perspektywy lat patrzy Pani na swoją działalność w Komitecie Pomocy?*

MC – To był bardzo ważny i dobry okres w moim życiu. Rzeczywiście, przez pierwszych parę lat czułam się tam szalenie potrzebna. Później już mogłam tam być albo mogło mnie tam nie być. Ale w pierwszym okresie czułam, że to, co tam robię, jest niezmiernie ważne, i było mi z tym bardzo dobrze. Każdy człowiek tego potrzebuje.

Tekst autoryzowany 18 lutego 2010